

ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XII.

Warszawa, dnia 11 września 1920 roku.

Nr 37.

ALFRED KONAR.

POWIEŚĆ.

9)

PIĄTE KOŁO.

Lecz drzwi Sezamu Stępka bez złotego zaklęcia pugilaresu były dla nich niedostępne. I dwaj przyjaciele musieli zadowolnić się sąsiadującym Brajbiszem. Weszli do bramy, za którą na miejscu obecnej sali kinematografu—mieścił się karykaturalny wyasfaltowany „ogródek” z kilkoma zeschłymi w żelaznych okratowaniach drzewkami rachitycznymi, z bluszczem, wijącym się na ożaluzjowanych dyskretnie altankach gabinetowych, z latarniami naftowymi na zielono malowanych słupkach.

W wielkim pawilonie bufetu wśród stosów kanapek, rzodkiewek, grzybków, szparagów, ogórków i innych nowalijek—rezydowała tu stale otyła pani Brajbiszowa w otoczeniu swoich habitué, współpracowników „Kurjera Codziennego” którego rywale z „Warszawskiego” spędzali bardzo przeciągle wieczory u sąsiedniej Czulińskiej.

Lecz wołowa z rożna okazała się podług definicji Jurka gorszą od tej, jaką spożywają w Londynie stróże nocni. Zamieniono ją też kurczętami i rakami. Do ich stolika przyłączyli się też szkolni koledzy: Badurkiewicz, Budziszewski i Gębarski, którzy nie zbliżali się nigdy do przesiadującego tu zwykle w oddali—mruka.

Należeli do parafii tych, którzy uważają, że życie—znaczy: koniak, kobieta i karty. A pracuje się dlatego, aby zdobywać pieniądze na ten jedyny cel istnienia. Pawełek pojmował też doskonale, że to nie jego osobiste zalety przyciągnęły to niezwykle liczne towarzystwo. Bo koledzy szkolni odwiedzali go ongi jedynie w celu dowiedzenia się, czego właściwie żądał nauczyciel na ostatniej lekcji i jak objaśniał progresję, logarytmy i teoremy. Lecz pozatem już w latach dziecięcych nie lubiano ani jego solidności, ani

wyrozumiałości dla przeciwników i dla nieobecnych, pomimo iż krytykowanie i wyszydzenie pozaoczne należy do największych rozkoszy. Koledzy pogardzali i jego niezgrabnością, krótkim wzrokiem i śmieszными ruchami. Jedynie, jego okulary primaków interesowały; a kiedy odmówił ich ongi Badurkiewiczowi, ponieważ zbyt często mu je tłukli—od kilkunastu już lat kolega Bodurkiewicz nie kłaniał mu się na ulicy.

Naturalnie nie byli takimi kanajami, jak Lisowski i Jegorow; lecz ten sam mur żywiołowej odrębności odłączał tych wszystkich t. zw. dobrych chłopców, krzywdzących stale swoich krawców, szewców i praczek i uwodzących dziewczyny od tego pogardzanego przez nich mruka, mającego pasję być w porządku ze wszystkimi, w wiecznej obawie, aby nie zabłócić się, choć nikt od tego przecież nie umiera. I dziś Badurkiewicz, Budziszewski i Gębarski zwracali się z przyjaznymi uśmiechami jedynie w stronę sympatycznego Jurka; zapomnieli już oddawna o niewłaściwości jego przebywania ongi pod dachem quasi narzeczonego matki. Pani Roma i pan Witold należeli już do historii przedpotopowej. A wady Pawełka były niezmiennie, wieczyste. I z lubością wsłuchują się teraz w miły oportunizm Jurka, spowodowany, obfitością piwa i koniaków.

— Nie pojmuję, jak można być smutnym, kiedy posiada się w kieszeni dziesięć rubli, za które można przecież zawsze dobrze się zabawić.

Koledzy pod wpływem alkoholu poczęli komplementować Jurka:

— To ty wskazywałeś nam zawsze, gdzie są najlepsze bilardy, najtańsze piwo, papierosy i najładniejsze dziewczyny. Nie uchylałeś się nigdy od żadnej zabawy, jak inni. I wszyst-

kie nasze najweselsze chwile zawsze łączą się w pamięci z tobą.

— Naturalnie—brawurował—To tylko głupcy upierają się analizować odwrotne strony medalu, choć przykry jego widok odbiera humor, łatwe trawienie i przyjaciół. Bo przecież żaden z was nie chciał by obcować ze mną, gdybym nie był zabawny i gdybym począł uskarżać się na niepewność mego jutrzejszego obiadu i paltota zimowego.

— O! Ty, stary satyrze!—oburzali się nieszczerze przyjaciele, nie zupełnie pewni do czego zmierza—Nie wierzysz w przyjaźń? A Pawełek?

— E! Pawełek—to—człowiek anormalny—dotknął w zapale pięty Achillesa i wnet poprawił się, aby go udobruchać. Nie masz czego się dąsać. Normalni ludzie—to takie kanalje, jak my.

— Ha! ha!—roześmieli się biesiadnicy.—To tacy, którzy mają kielbie we łbie i plotą, co im ślina przyniesie, aby tylko nie mieć ust zamkniętych.

— Przecież i wy nieraz milczycie—usprawiedliwiał się zawstydzony Pawełek.

— Prawda. Ale—widzisz—nasze milczenie nikogo nie męczy, bo jest podobne do naszej mowy: Wszyscy domyślają się, że kiedy nie mówimy, mamy także kielbie we łbie, t. j. jedyną myśl, skąd wziąć pieniądze i jak je potem puścić.

— Naturalnie. Podczas kiedy Pawełek myśli, po co się żyje i po co umiera?

— No i o tem, czemu każdy stróż nocny nie je kury na niedzielny obiad i czemu nie posiada w mieszkaniu światła elektrycznego i kąpieli.

— Ha, ha, ha!

— Lecz powracając do ludzi, nie takich, jacy powinni być, lecz jacy są—rozgadał się wyjątkowo wymowny na swoich śmieciach Jurk—to przyznajcie, że przeciętny człowiek nie nadaje się do odczuwania wielkiej sympatii do osobników tej samej płci. I niebardzo obchodzi go kąpiel stróża, czy też

obiad kolegi szkolnego. Śmierć przyjaciela dotyka ludzi mniej, niż strata zawieszonego u dewizki breloka, do którego przyzwyczailiśmy się. Czy nieprawda? A wyjazd dziesięciordziej przyjaciółeczki, która nam jeszcze się nie sprzykrzyła dotyka nas bardziej, niż rozstanie się na dziesiątki lat z najwierniejszym przyjacielem; można z powodu takiej przykrości stracić co najwyżej apetyt do obiadu lub pół godziny snu w nocy.

— I to bardzo wątpliwe.

— Naturalnie. Bo ta dziesięciordziej przyjaciółeczka zowie się po prostu kochanką, którą psia krew...

— Właśnie! Którą nasza zwierzęca psia krew egoistycznie wzywa. A kochać tę kochankę, czy też żonę każde zwierzę potrafi.

— Lecz może nadejdzie kiedy czas — wyrwał się mimowoli uporczywie milczący Pawełek — kiedy ludzie poza sztucznie wyidealizowanymi przez poezję zwierzęcymi instynktami — zajaśnieją jeszcze altruistyczną radością dusz, kochających darmo, z jedyną zapłatą własnego duchowego zadowolenia.

— Zgoda co do ogólnej miłości do narodu lub do bliźnich, lecz nigdy ku jednostce, ku pewnemu jakiemuś bliźniemu. Kochać pewnego jednego bliźniego, który nie jest ani naszym ojcem, ani synem, ani bratem — to — jak słusznie zauważył Jurek — jest wprost anormalne.

— Naturalnie. Przymilać się do ubogiego — jest idiotyzmem, a do bogatego — karierowiczostwem.

— Lubię kwiaty, ale w maju — paradował modnymi wtedy wyrażeniami Bodurkiewicz. — Nie mnie brać na kawał. Z dziewczynkami — to zupełnie inna para mankietów, bo tam przynajmniej wie się, o co chodzi. A pozatem każcie się wypchać!

— Kochankę znacznie łatwiej znaleźć w życiu, niż przyjaciela — zauważył Pawełek.

— Ale bez kochanki — nie można wytrzymać ani tygodnia. A bez przyjaciela całe życie — zdecydował Bodurkiewicz.

— Nigdy w życiu nie czułem braku przyjaciela i nie poszukiwałem bratniej duszy — roześmiał się Gębarski.

— To ty sądzisz, że posiadasz duszę? Megaloman! Ha, ha, ha!

Nastrój przy obfitości kuflów stawał się coraz bardziej ożywionym. Jurek cytował z wielkimi powodzeniem swoje osobiste wrażenia włoskie w kwestji wina cianti, oraz budowy tamtejszych kobiet i węgierki czardaszujących w tinglach Londynu. Młodzi polscy patryjoci ujmo-

wali się za Warszawą, w której spotyka się kobiety, zbudowane nie gorzej, niż we Włoszech i przejeżdżające do Petersburga węgierki, czardaszują w tinglach warszawskich nie gorzej, niż w londyńskich. Szczególniej była tu jedna... Pawełka, jako niekompetentnego w tych kwestiach nie pytano o zdanie. Zresztą byli przyzwyczajeni do milczenia mruka.

Dla zakończenia wieczoru układowano jeszcze jakąś nocną eskapadę. Lecz zdania ścierały się wobec propozycji karcianych. Pawełek, który wstawał wcześniej od innych — odmówił kategorycznie udziału w dalszej zabawie. To uchylenie się od towarzystwa ze strony mruka nie było dla nich niespodzianką. Proponowali mu jedynie dla formy i woleli, że nie decydował się psuć im zabawę, jako piąte koło.

Przy sąsiednim stoliku zasiadł jakiś jegomość z bardzo strojną damą. Jurek, zauważywszy ich, zdziwiony tem nieoczekiwanem spotkaniem — zaklął z nagłym marsem na czoło. Lecz wnet po sekundzie wahania usprawiedliwił się, że musi przywitać się z nowoprzybyłymi znajomymi, ponieważ go dostrzegli. Po chwili, powróciwszy do dawnego stolika, przeprosił kolegów, że z wielkim żalem musi ich opuścić, ponieważ nie może odmówić zaproszeniu nowoprzybyłych.

Wobec tego, że w grę wchodziła tu najwidoczniej dama — koledzy znacząco, zgrywając się w dyskrecji — ustąpili bez wahania. I Jurek począł żegnać się z nimi. Żal rozstania się z kolegami — znać było po nim, że był szczery.

— Nie, nie — zwrócił się do zamierzającego odejść Pawełka — musisz pozostać ze mną. To są ci państwo ze Szczawnicy. Dyrektor kopalni „Heban“ z żoną. Znają cię już z moich opowiadań i chcą koniecznie poznać cię.

Nie było na to rady. I Pawełek musiał pośpiesznie regulować rachunek własny i Jurka, o którego znana brajbiszowska kelnerka Zosia badała Pawełka z ogromnem zaciekawieniem.

— Kto jest śliczny chłopiec, podobny do Prażmowskiego? Jak Bożę kocham, można zakochać się w nim.

Pawełek podszedł do stolika państwa dyrektorstwa, którzy powrócili teraz z operetki, mieszczącej się wtedy, w przebudowanej na salę teatralną byłej bóżnicy przy ulicy Daniłowiczowskiej i zachwycali się Gilettą z Narbony Audran'a w interpretacji czarującej Zimajerki, tylko

co przybyłej z zagranicy w aureoli wszechświatowej sławy.

Pan dyrektor „Hebanu“ przeciętny filister, odznaczający się bystrością w swojej fabryce i tępością umysłu poza biurem — fundował dziś szampa z rozmachem człowieka, który poza całotygodniową pracą — chce w niedzielę bawić się. I dlatego mówi dużo, głośno i głupio. Żona, jak zwykle w tych sferach kulturalniejsza od męża — przypomniała Pawełkowi, (którego rozpoczęła z nią rozmowa o teatrze i literaturze znacznie bardziej interesowała od włoskiego cianti i węgierskiego czardasza kolegów) panią Rome, również strojną, wytworną i również, pomimo nie pierwszej już młodości — jeszcze piękną.

Wydała mu się sympatyczną z tem zimnem przysłuchiwaniem się banialukom męża i z widocznym wchłanianiem potocznych słów Jurka, którego pogoda i zgrowy sens działał na nią, jak na wszystkie inne kobiety. Piękna pani panowała zresztą nad sobą znacznie mniej dyskretnie, niż główny bohater, który z wielką rutyną donżuana ani jednym spojrzeniem, ani jednym uśmiechem nie zdradzał więzów, jakie ich łączyły.

I Pawełek ze swoim przesubtel-nionym zmysłem odgadywania życia obcych ludzi — pojął wnet, że piękna pani solidaryzuje z jego wszystkimi wywodami w kwestiach literatury i sztuki z tą samą sympatją, jaką obdarzała go nieboszczka pani Roma, Aurelka i inne kobiety jedynie z powodu wspólności uczuć dla Jurka. Zarówno matka jak i kochanki Jurka tak go kochały, że aż bliskim ich sercu stawał się jego przyjaciel.

Pawełek nie był wcale o Jurka zazdrosnym. Przeciwnie. Byli mu bliscy ci wszyscy, którzy przyjaciela jego kochali. I teraz uczuł pewną nić sympatii i ku temu przyjacielowi Jurka poczciciwcowi — rogaczowi i ku jego pięknej żonie. I Pawełek w powrotnej drodze do domu usiłował gwizdać — zadowolony z zakończenia spędzonego wieczoru, ponieważ wogóle przekładał towarzystwo choćby najobojętniejszych mu, lecz estetycznych kobiet — wulgarny zgłęb kolegów w rodzaju tych, jakich pozostawili dziś przy poprzednim stoliku, a którym na imię jest: milion. Zresztą przyjechał przecież do Warszawy Jurek!

Dalszy ciąg nastąpi.



Tajemnica Rodu Köenigsmarków.

16)

Przekład z francuskiego przez H. J. P.

Marçais byłby wolał poprzestać na tem. Lubił polować na bażanty w lesie na polance, mając przy sobie lokaja, który by mu nabijał strzelbę i oznajmiał przejście zwierzyzny: bażant na prawo, Panie Hrabio, — kura na lewo.

Ale Wielka Księżna Aurora nie chciała o tem słyszeć; mając wstręt do wszystkiego co jej przypominało polowania urzędowe i lubując się zresztą w zwierzyźnie wodnej.

Jakoż wkrótce rzedniały skarłowaciałe drzewa. Olbrzymia błotnista przestrzeń szara i blade zielona ukazywała się przed nami. Po nad nią, chylące się już ku zachodowi słońce wyglądało jak wielka, różowa kula.

Dwóch lokajów oczekiwało nas w wiejskiej altanie i odbierało konie. Marçais miał psa Dicka, wielkiego wyżła z Auvernii, twardego w pysku i doskonale wyławiającego zwierzyinę. Wyżeł Wielkiej Księżny czarno-rudy duży i brzydki, wyglądał jak psi brat Tarras-Boulby.

Z jaką radością, rzucając cugle zeskakiwała na ziemię! Widzę jeszcze ruch jakim otwierając swój *hammerless*, wsuwała weń dwa liljowe ładunki. Słyszę jeszcze suchy stuk mosiądza, odbijającego się o stal lufy.

...Już jako piętnastoletni chłopak uzbrojony w starą strzelbę z wizjerem znalazłem tej nadzwyczajnej rozkoszy, jaką jest polowanie na bagnach. Później w pułku strzelanie do niknących sylwetek było dla mnie zabawką w porównaniu z temi podwójnymi złożeniami się do pierzających bekasów, w których już wtedy celowałem.

Na południe od Dax znajdują się olbrzymie bagna, nad którymi rozsiadły się nędzne miejsciny Herm i Goursbera. Prowadzi doń wawóz zwany La Cible, (terasa celowa), ponieważ strzelcy cesarscy, strzelali tam niegdyś do celu. Była to ta sama przestrzeń omglona. Och! ten chrzęst mokrego piasku, ta rozmiękła ziemia, te wreszcie trawy żółte i ostre jak brzytwy, przecinające niezręcznie dłoni, co się ich uczepli.

Znałem całą rozmaitość i nieprzeliczoną faunę tych błot, tych zdradzieckich powierzchni zielonego mchu, tych jam obrosłych trzcin, tego krajobrazu tak napozór jednostajnego.

Podobnie jak piękna łowczyni z nad bagnisk Wołgi znalazłem wszystkie ptaki tych bladych przestrzeni; chruściela czarnego czyli wodnego, który skacze wśród огоłoconych krzaków; chruściela jałowcowego, czyli kwiczoła, który biegnie pędem przez wysokie trawy, myli najlepszych psów, męczy myśliwca, niby jaki zając, zanim wreszcie podnosić się w górę, i biedna, niezręczna wówczas ptaszyna, staje się niechybnym łupem strzału.

A dalej niezliczone odmiany kaczek: cyranki latające zawsze parami, i które na rudawych piersiach mają trzy czarne pióra w kształcie czarnej koniczyny; czajki białe i czarne jak sroki, które wznoszą się w górę kracząc, a potem opadają nagle ku ziemi, by uniknąć strzału; siewki, tak piękne na wiosnę w swem złocistym upierzeniu, a wreszcie królowie bagien, najtrudniejszy i najpiękniejszy łup strzelby: bekasy: mały, mniejszy od skowronka, którego w moich stronach nazywają *gluchym* o błękitnem i zielonem pręgowaniu; bekas zwyczajny czyli słomka, wielkości przepiórki lecz gdzie od niej zwinniejszy, wreszcie najrzadszy, podwójny tak wielki jak kuropatwa.

Ptaki te wydając głuchy, smutny krzyk lecą z oszalamiającą szybkością i niedającami się przewidzieć zwrotami. Strzeliłeś na prawo; a gdy dym się rozproszył, widzisz gdzieś bardzo daleko na lewo znikającego ptaszka.

Wśród tych bagnisk hanowerskich tak łudząco podobnych do moich trzęsawisk rodzinnych Aurora de Lautenbourg była jeszcze piękniejszą niż w pałacu, w wystawnej toalecie. W nurkowym toczku na włosach, w butach za kolana, szła skacząc z lekkością pliszki po ruchomych kępach. Żółte światło tej przesyconej wilgocią atmosfery nadawało jej profilowi odcień liljowy.

Marçais strzelał zimno i dobrze. Hagen zdenerwowany zawsze zbyt szybko pociągał za cyngiel. Ja byłem o wiele od nich zręczniejszy, ale jakże marnie wyglądała ta moja zręczność przy Wielkiej Księżnie.

Pozostawiając nam chruściela i kaczki, strzelała tylko do bekasów. Zwolna noc się czyniła na tych wodnistych przestrzeniach. Skraj horyzontu zabarwiał się miedziastym kolorytem. Kałuże wody błyszczały

zielonym odbłaskiem.. Za każdym strzałem wychodził z luf blade płomyk, który w miarę zapadającej ciemności stawał się coraz czerwieniej. To była godzina Wielkiej Księżny. Jej djabelski wyżeł dwoił się i troił. Słysząc było zrywające się wciąż bekasy. Ani Marçais, ani Hagen, ani ja, jużśmy ich nie widzieli. Ale Aurora widziała ich; każdy wystrzał jej strzelby trafiał szarego ptaszka.

Chwila oczekiwania; poczem w ciemnościach dawał się słyszeć szelest rozsuwanych traw. I ukazywał się wyżeł, zmoczony, połyskujący i czarny, z oczyma błyszczącymi fosforycznie, i przynosił swej pani zabitego bekasa.

Noc już była zupełna. W oddali, z ochrypłymi krzykami ciągnęły niewidzialne sznury żorawi. Wielka Księżna odbierała psu ptaszka. My trzech przybliżyliśmy się. Widziałem, jak obmacywała delikatne, ciepłe jeszcze ciała. Na pozór żadnej rany. Nic co by pozwoliło odnaleźć ziarno śrutu, małeńki, czarny otworek, przez który uleciało to wątłe życie.

I z właściwą wielu myśliwym niekonsekwencją Aurora de Lautenbourg podnosiła do ust bezwładną główkę ptaszyny, składała na niej pocałunek.

ROZDZIAŁ VI.

Było to w sobotę wieczorem 16-go Maja 1914-go roku, kiedy Wielka Księżna Lautenbourg'u zaszczyliła mnie opowieścią swego życia. Pozwól, że powtórzę ci to opowiadanie, nie tyle dla pewnych szczegółów bezsprzecznie koniecznych do zrozumienia dramatu, który się teraz rozegra, niż dla własnego zadowolenia, z jakim otworzą tę szkatułkę kosztowności i rozkoszować się będą obracaniem tych cudnych, rodzimych klejnotów, które zawsze rozświecać będą czarną noc mego życia.

Hagena nie było. Musiał wziąć udział w obiedzie, jaki 7-my pułk huzarów wydawał. Zauważyłem z radością, że pomimo całej nonszalanckiej z jaką traktowała tego upartego i milczącego młodzika, była zawsze swobodniejszą bez niego.

Miała na sobie tego wieczora bardzo lekką i luźną tunikę z żółtej, tureckiej materji zahaftowanej srebrzem i liljowym jedwabiem. Leżąc na szesławie, okrytym skórą białego niedźwiedzia, bawiła się oskubywaniem wielkich róż, których ogromna wież stała na stolicku obok niej. Chwilami słysząc było szelest płatków opadających na błękitny dywan.

Meluzyna, skurczona na dywanie,

z nawpół rozpuszczonymi włosami, kłoniła ociężałą głowę do nagich stopek swej pani, które obejmowała chwilami.

Z fotelu, na którym siedziałem, widziałem w rozchylaniu koronkowej chusteczki wzdymające się rozkosznie drobne, matowe piersi dziewczyny. Po za spuszczonej firankami okno było otwarte a nocny wietrzyk, rozchylając je chwilami mieszał balsamiczne wonie *Herrenwaldu* z duszącymi zapachami róż, bursztynu i papierosów.

Wtedy to, nie troszcząc się o styl, mieszając trzy języki, ruski, francuski i niemiecki, Aurora zaczęła mówić:

„Trzeba ci wiedzieć, mój drogi, że wychodząc za mąż nie wzniosłam się hierarchicznie. Z księżniczki zostałam Wielką Księżną. Ród mój jest znacznie starszy niż ród moich mężów, pomimo ich pokrewieństwa z Hohenzollernami. Jestem Księżniczką Tumeńską. Wiem dobrze, iż wasze zachodnie historie nie wspominają prawie o nas. Ale gdybyś się udał do Samarkandy, do Karakorna, lub choćby tylko do Tyflisu wyczytałbyś w starych kronikach mongolskich rzeczy, które by cię zdumiały starożytnością naszego pochodzenia i zrozumiałbyś, że wasi Brogliowie, wasi Cumberlandzi są parwenjuszami obok nas”.

„Był niegdyś Książę Tumeński ścięty, za opór jaki stawiał Jarosławowi Wielkiemu, nie sięgam dalej, aby cię nie nużyć litanją imion, których byś spał pamiętać nie mógł. Inny, znacznie później tak się dał we znaki Iwanowi-Groźnemu, że ten wolał wejść z nim w układy i posłał mu wspaniałe podarunki, a pomiędzy niemi wielki zegar wiszący z cyframi godzin z szafirów. To nie przeszkadza, że syn tego Księcia przywiódł czterdzieści tysięcy jeźdźców Chanowi Krymu, gdy ten oblegał Moskwę w 1571 roku, jeżeli się nie mylę”.

„Nie sądzę, że byliśmy barbarzyńcami dla tego, że początkowo knuliśmy przeciw Carowi. Borys Godunow uciekał się do naszej pomocy przeciw Tatarom, Czerkiesom i Czeremisom. Co prawda woleliśmy bić się z Europejczykami. Aleksy Tumeń, syn chrzestny Piotra Wielkiego dowodził wielką szarżą pod Połtawą. W nagrodę ten Car zostawił go w spokoju ze swemi reformami. Jest u nas obraz, w stylu waszego Mignarda, przedstawiający Księcia Aleksego w kunim kołpaku, w tołubie ze złotogłowiu haftowanym, jak ornat i z długimi wąsami,

które Car kazał obciąć wszystkim innym”.

„Pierwszym, który je zgolił był Włodzimierz, mój pradziadek. Tego to Włodzimierza o mało nie rozstrzelano z rozkazu Barclay’a de Tolly, nie pamiętam już za co. Dowodził pułkiem kozaków Astrachańskich, którzy operowali na Polach Elizejskich i jakoby narobili tam ładnego zamętu. Mój pradziad rabował co się dało, ale sprzedał wszystko aby mieć pieniądze, które przegrał natychmiast w Palais Royal. Wyobraź sobie że stawiał zawsze na czerwonej karcie, a czarna wyszła czternaście razy z rzędu”.

„Ojciec Włodzimierza był z początku w bliskich stosunkach z Katarzyną II-gą. Gdy jej się znudził ożenił ją z panną d’Anhalt. Po raz pierwszy wtedy ród niej połączył się z krwią niemiecką. Mam nadzieję, że na mnie skończy się ta lista. Nie mówię tego, aby ci sprawić przykrość, Meluzyno, ale ta Niemka była głupią i oszczędną. Z siedmiorga dzieci, któremi obdarzyła męża, żadne nie było do niej podobne. Wszystkie małe kozaczątka”.

„Babka moja pochodziła z Eriwanu. Mówią, że jestem do niej podobną, Ale ona była znacznie piękniejszą. Ochrciła się, aby zaślubić mego dziadka, w którym rozkochała się do szaleństwa. Przedtem była czcicielką ognia, który to kult jest najpiękniejszą religią świata”.

„Mój ojciec, o którym będę miała sposobność wspominać jeszcze jest drugim z rodu, który połączył się z Niemcami i to z Hohenzollernami w dodatku. Ale trzeba wiedzieć jak się to stało. Ojciec, jak jego dziadek Włodzimierz był namiętnym graczem. Przysiągł sobie odzyskać we Francji to, co tamten tam stracił: W rzeczywistości, byłby się zrujnował, gdyby się można zrujnować posiadając obszary jak sześć waszych departamentów, kozaków, których liczby się nie wie i trzody, które się podwajają corocznie”.

„Z tem wszystkim, dziesięć miesięcy co roku spędzał w Paryżu, był członkiem Jockey-Clubu, w Aix, w Nicei, we wszystkich miejscowościach, gdzie można spotkać podobne jeszcze typy. W Aix poznał moją matkę. Było to w 1882. Pewnego wieczoru znajdował się w *Villa des Fleurs* z Królem Jerzym Greckim i Wielkim Księciem Wasylem. Pili ogromnie i zapewne nie musieli być sami. Wówczas to ojciec mój zaczął wygadywać na kobiety, dowodząc, że wszystkie są sobie równe i że on, Książę Tumenu,

zmuszony ożenić się z racji nazwiska, poślubi pierwszą lepszą, na traf”.

— W takim razie—rzekł Wielki Książę:—ożeń się z pierwszą, która tu wejdzie.

— Bardzo dobrze, byle nie była mężatką — dodał mój ojciec, który był religijnym.

— Założę się, że tego nie zrobisz.

— O co?

— O sto tysięcy rubli.

— Stoi.

„Podobno Król Jerzy nigdy w życiu tak się nie ubawił. Biedaczysko! zmartwiłam się, gdy go zamordowano przed pół rokiem. Wyobraźcie sobie Meluzynę i tych trzech ludzi, czekających aż drzwi się otworzą, przed tą, która miała zostać Księżną Tumenu, bo znali dobrze upór mego ojca i wiedzieli że raczej ożeniłby się z Królową Pomare lub z Panią Dieulafoy, niż żeby miał przegrać zakład”.

„Weszła moja matka, to znaczy Księżniczka Eleonora Hessen-Darmstadt, mająca podówczas szesnaście lat, a za nią jej guwernantka Angielkę. Drzę na myśl, że Angielka mogła wyjść pierwsza. Ojciec byłby się z nią niewątpliwie ożenił i była bym znacznie brzydszą”.

„Matka moja była piękną jak dzień. Coś jakby jasnowłosa Meluzyna. Może jednak nie tak piękną jak ty, droga Meluzyno. Mało ją pamiętam, bo miałam zaledwie pięć lat, gdy umarła. Nie mogła nigdy przyzwyczaić się do Tartarii. Przypominam sobie, że w początkach jesieni, drżała zawsze słysząc wieczorem krzyki kulików w trzęsawiskach Wołgi. Ojciec zdradzał ją ciągle. Ona zaś, umiała tylko płakać; a to jakoby najbardziej drażni mężczyzn”.

„Jak można było nie podobać sobie w naszym pałacu tego zaiste nie pojmuję. Bo nie wyobrażaj sobie przypadkiem, że to jest jakaś siedziba dzikusów. Około 1850 roku bawiła u nas pewna francuska. Przeczytaj sobie jej książkę: *Voyage dans les Steppes de la Caspienne*, wydaną w Paryżu. Nazywała się pani Hommaire de Hell. Mąż jej był inżynierem i robił tam pomiary. Możesz to sprawdzić w swoich szparagalach. Mój dziadek podejmował ją u siebie i ona upamiętniła to dość dokładnym opisem pałacu”.

„Pałac ten zbudowany jest na wyspie Wołgi. Przodkowie moi uczynili to z powodu band koczowniczych. Powód ten zniknął, ale malowniczość została”.

Dalszy ciąg nastąpi.